

11



THE
LIBRARY
OF THE
UNIVERSITY OF
TORONTO

Janusz Meissner

ESKADRA

Pierwszego września roku 1939 przednie straże wojsk Hitlera przekroczyły polską granicę. Tego samego dnia o świcie wszystkie większe miasta w Polsce i większość lotnisk wojskowych została zbombardowana przez potężną flotę powietrzną Niemiec, Wbrew zabiegom dyplomatów Trzecia Rzesza uderzyła. Uderzyła całą potęgą trzech armii swojej Luftwaffe i olbrzymim taranem dywizji pancernych, którym mogliśmy przeciwstawić nieco czołgów, piechotę i kawalerię na ziemi oraz około czterystu samolotów bojowych w powietrzu...

Na kilka dni przedtem Grey został wezwany do Dowództwa Lotnictwa, gdzie otrzymał szczegółowe instrukcje i wraz z awansem na kapitana i powołaniem do służby czynnej. W

parę dni potem rzut powietrzny Pierwszej Ochotniczej Eskadry, odtąd zwanej „eskadrą orłów”, stanął na dobrze zamaskowanym lotnisku polowym, gdzie oczekiwał już rzut kołowy ze sprzętem ziemnym i mechaniczami.

Działania bojowe eskadry zaczęły się natychmiast, a praca trwała od świtu do nocy.

Mimo przyniatającej przewagi Luftwaffe wyrażającej się stosunkiem ośmiu samolotów niemieckich na każdy polski, mimo dużej różnicy w prędkości i uzbrojeniu maszyn na korzyść wroga, chłopcy wychodzili cało z pierwszych walk; Zrozumieli już, że Polska sama nie zdoła się obronić, ale przecież łączył ją sojusz z Francją i z Wielką Brytanią!

Przetrzymać najgorsze; doczekać, aż przyjdzie odsiecz. — to była myśl, w której szukali oparcia.

Jakoż trzeciego września Wielka Brytania, a po niej Francja wypowiedziały Niemcom wojnę.

— Teraz im dadzą szkołę! — powiedział Bielak. Ale Grey zdawał się nie podzielać tego mniemania.

— Będziemy walczyć do ostatka — rzekł. — Może nam pomogą, ale musimy liczyć przede wszystkim na siebie. To będzie bardzo trudna wojna — dodał. — Ani Polska, ani Francja i Anglia nie są tak uzbrojone jak Niemcy.

— Ale przecież w końcu wygramy? — zapytał Szczerbiński.

Grey spojrzał na niego z uśmiechem;

— W końcu wygramy — powiedział pewnym głosem. — Właśnie dlatego każdy polski pilot jest teraz tak potrzebny. Dlatego wy też jesteście w służbie. To jest walka o samo istnienie nas, Polaków, jako narodu. Musimy zwyciężyć.

— Łącznik z dowództwa, panie kapitanie — zawołał przez okno jeden z podoficerów.

— Dawać go tu! — zerwał się Grey.

Przed namiot zajechał motocykl. Wszedł zakurzony, spotniały kierowca z kopertą w rękę. Grey pokwitował odbiór i złamawszy pieczęć zaczął czytać.

— Piloci i Gałęcki na odprawę — powiedział po chwili. — Zawołaj ich do mojej kwatery — zwróci! się do Szczerbińskiego.

W pięć minut później zeszli się w czystym domku kolonisty, który zajmował Grey na skraju wsi. Serca biły im mocno: może zacznie się natarcie?

Przecucia ich nie zawiodły; — Już od świtu na naszym odcinku zaczyna się koncentracja przed natarciem — zaczął Grey. — Jednocześnie po stronie nieprzyjaciela zauważono obecność nowych trzech dywizjonów myśliwskich i lotnictwa bombowego, które niewątpliwie będzie się starało zdeorganizować komunikację na naszych tyłach.

Chodzi o to, aby od czwartej rano do ósmej wieczorem nie dopuścić ani jednego niemieckiego samolotu poza nasze linie na odcinku trzydziestu kilometrów frontu; Na prawo będziemy wspierani przez 143 eskadrę myśliwską, na lewo przez 142. Za nami znajduje się 141 eskadra. Chodzi o uzyskanie na krótki czas przewagi lotniczej.

Słuchali w skupieniu i widać było, że nie tylko rozumieją, jak trudne zadanie przypadło im w udziale, lecz że zdecydowani są raczej polec wszyscy, ilu ich jest, niż pozwolić na wdarcie się choćby jednej maszyny poza ten kordon, który kazano im utrzymać.

— Strefa naszego działania leży między Kuźnicą a Barcinem, to znaczy wynosi czterdzieści kilometrów. Od Barcina na południe działać będzie eskadra 143. Naszą rezerwę stanowi 142, ich zaś 141. Wyślę cztery patrole po trzy samoloty pod dowództwem Wireckiego, Kramera, Radlicza i Szczerbińskiego. Kolejność ułożycie między sobą.

Gałęcki przygotowuje dla mnie dwie maszyny; będę was odwiedzał co godzinę; Kiedy rozpoczniecie walkę, a rozpocząć ją trzeba z każdą maszyną, która będzie leciała od strony nieprzyjaciela, reszta zostanie zaalarmowana przez artylerię spod Barcina. Jeżeli zdarzyłoby się to podczas mego lotu, wszystkie pozostałe i patrole natychmiast startują, aby przybyć z pomocą i zaatakują nieprzyjaciela zależnie od okoliczności. Miejsce zbiórki po walce: nad Kuźnicą, po czym w powietrzu pozostaje patrol dyżurny, a reszta w szykach patrolowych trójkami powraca na lotnisko ze mną. Na wypadek gdyby walka miała odciągnąć nas od strefy patrolowania, dyżurny patrol wycofa się i pozostanie w tej strefie. Nie można ani na chwilę zostawić jej bez dozoru. Zrozumiano? Wysokość lotu dla wszystkich patroli: dwa i pół do trzech tysięcy metrów. A teraz — do maszyn. Przejrzyć karabiny, amunicję, silniki.

O dziewiątej — spać! Wirecki przyniesie mi jeszcze spis i kolejność patroli. Koniec.

Do godziny ósmej panował w powietrzu i na ziemi spokój, jeżeli nie liczyć dwóch samolotów rozpoznawczych, które tylko na chwilę ukazały się na zachodzie, aby natychmiast zawrócić w kierunku południowym. Baterie pod Barcinem milczały; Dalekie, wysunięte na północny wschód okopy leżały ciche i jakby martwe, szczerząc żółte zęby

piaszczystych przedpiersi i zygzakami podpełzając ku wsi; Wieś właściwie nie istniała: była stosem rumowisk i nadpalonych albo zwęglonych belek walających się między żałośnie wycelowanymi w niebo kominami. Wszyscy już znali te kominy i stanowiska strzeleckie przed nimi. To były nasze rowy.

O paręset metrów dalej prostą linią przebiegał wyszczerbiony tu i ówdzie bombami samolotów tor kolejowy ukryty w dolinie. Ten tor leżał głuchy i bezczynny polśniewając w słońcu podwójną linią szyn, czerniejąc lejami pocisków i wyrwanymi podkładami.

O jego posiadanie bezskutecznie walczyła dywizja.

Grey wystartował dziesięć minut przed ósmą i biorąc po drodze wysokość poleciał zobaczyć, co się dzieje z patrolem. W powietrzu był patrol Wireckiego. Następny z kolei patrol, pod dowództwem Kramera, tworzyli Plichta i Nowak. Wszyscy inni byli też w pogotowiu.

Siedzieli w cieniu namiotów i palili zamieniając od czasu do czasu po parę słów nie mających właściwie żadnego sensu: gadali, aby zabić czas i skrócie nieznośna długie chwile oczekiwania. Nikt nie słuchał tego, co mówili inni, i każdy myślał, kiedy wreszcie zadzwięczy telefon z dowództwa artylerii.

Oczekiwali na ten dzwonek, a jednak kiedy zadzwieczał krótko i nerwowo, porwali się z miejsc jak zelektryzowani. Radlicz ujął słuchawkę i zameldował się głosem przerywanym wzruszeniem.

Potem przez kilkanaście sekund słuchał w milczeniu, powtarzając tylko: „tak jest”, albo „tak, panie pułkowniku”. a chłopcy, wpatrzeni w jego twarz blednącą i rumieniącą się. na przemian, z trudem hamowali niecierpliwość.

— Lecimy zaraz — powiedział wreszcie. — Czołem, panie pułkownika — i oddzwonił.

— Co? — spytali jednocześnie.

— Biją się. Przyleciały trzy myśliwskie patrole po pięć maszyn. Musimy się śpieszyć. Zdaje się, że dwie maszyny 143 eskadry już lam są.

Potem dopadli samolotów.

— Biją się na dwóch tysiącach — krzyknął jeszcze Radlicz i ruszył do startu ze swoim patroliem.

Tuż za nim startowała trójka Kramera, a potem Szczerbińskiego. Było pięć po ósmej, więc spotkanie mogło nastąpić zaledwie przed pięciu minutami. Alarm z baterii przybywał w porę.

Gnali na pełnym gazie i wkrótce zobaczyli znajome zarysy okopów. Wtedy idący najwyżej patrol Kramera skręcił w lewo: Radlicz nie zauważył manewru i gnał dalej na wprost, omiatając wzrokiem horyzont, a Szczerbiński wykręcał za Kramerem, gdy nagle

zobaczył wysoko nad sobą siedem bombowców z czarnymi krzyżami na skrzydłach.

W tej samej chwili jednak dostrzegł je także patrol Kramera, gdyż zwinął się w miejscu i pociągnął za nimi niepostrzeżenie wchodząc im za ogony.

Leszek pozostawił je Kramerowi, a sam starał się odkryć, co skłoniło poprzednio Andrzeja do zwrotu na północ. Przeleciał na czele patrolu nad stanowiskami artylerii, szukając na ziemi wskazówek, których nie mógł znaleźć w powietrzu, co do kierunku, w jakim należało dążyć z odsieczą Wireckiemu.

Ziemia potwierdziła kierunek północny, w którym Kramer rzucił swój klucz: między liniami okopów leżał rozbity Messerschmitt-110.

Polecieli w tamtą stronę i już po kilku minutach zobaczyli walkę.

W ostrym zakręcie gnały za polską maszyną trzy Messerschmitty. Wymykała im się zręcznie raz po raz przechodząc do natarcia i grzmiąc krótkimi seriami. Pomimo przygniatającej przewagi liczebnej przeciwników, pilot dawał sobie jakoś radę i stale był

niebezpieczny. Jeszcze nim patrol Leszka mógł pośpieszyć mu z pomocą, przerzucając samolot w wywrocie złapał na celownik jednego z nieprzyjaciół i widocznie unieszkodliwił

go zupełnie, bo nagle Messerschmitt zszedł w tył na skrzydło, zawahał się jakby i bezwładnie runął w korkociąg. Szczerbiński patrzył, czy nie wyprysnie ze zwoju poniżej, ale Me wirował coraz gwałtowniej, aż grzmotnął między żółte okopy i buchnął dymem pożaru.

Tymczasem patrol zbliżał się ku trzem maszynom walczącym nadal. Na znak przodownika Ahrens wziął wysokość na pełnym gazie, aby udaremnić ewentualną napaść nowych sił nieprzyjaciela. Kozłowski, który był na lewo, wszedł pod ogon jednego z Messerschmittów, a Leszek zaatakował drugiego, zjawiając się nieoczekiwanie między nim a słońcem. W tej chwili miał go na celowniku i bez namysłu nacisnął spust. Widział, jak pociski smugowe chlaszczą po kadłubie Niemca i jak Messerschmitt zwichnąwszy nagle łuk podciągniętego wirażu spada aż do ziemi.

I to już po wszystkim? — przeleciało mu przez głowę.

Nie miał czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bo spostrzegł nagle cały kłęb walczących samolotów o jakieś trzysta metrów poniżej na lewo. Jednocześnie zauważył, jak walka między pozostałym Niemcem a dwoma Pezetelami zbliża się ku końcowi: siedziały mu nad i pod kadłubem, zaledwie o trzydzieści metrów od niego i prały po kabinnie pilota.

Wysoko nad nimi krążyła na straży maszyna Ahrensa.

Ogarnął to wszystko jednym rzutem oka i znurkował, aby wmieszać się do walczącego roju na dole.

Tu była cięższa praca. Dwa Pezetele walczyły zaciekle przeciw ośmiu wrogom.

W jakimś zakręcie Leszek dostrzegł posiekane burty samolotu Bielaka. To, że pilot żył

jeszcze, wydało mu się cudem, ale bardziej zadziwiające było, że pozostawał nietknięty w wirze pocisków wypluwanych przez trzy otaczające go ; Messerschmitty. Nie mógł ruszyć się spomiędzy nich i przejść do natarcia, tak ciasno go ścisnęły. Szczerbiński bał się strzelać, aby go nie trafić.

Drugi P-II był w położeniu niewiele co lepszym. Atakował jednego z Niemców, wystawiając się pod ostrzał trzech pozostałych;

Nagle dwaj z nich zwrócili się przeciw Kozłowskiemu, a jeden z atakujących Bielaka — przeciw Szczerbińskiemu. Zasypali się wzajemnie pociskami i nagle Niemiec rzucił się w dół unikając czołowego zderzenia. Szczerbiński bez wahania pozostawił go pod sobą i ostrzelał inną maszynę, która właśnie na krótką chwilę weszła w obręb działania jego karabinów.

Potem już nie mógł widzieć, co się dzieje z innymi. Poczuł uderzenia pocisków w stery, w ogon, w kadłub, tuż za sobą.

Szarpnął maszynę do pętli. Zobaczywszy napastnika w chwili przewrotu na plecach, skończył manewr immelmanem, by zaatakować. Nie zdążył; z obu boków kropiły po kadłubie pociski dwóch innych samolotów, a pod ogon prały długie serie od tyłu. Był w matni.

Zakatrupią mnie — pomyślał.

Ale w tej chwili strzały umilkły. To Ahrens widząc, co się dzieje pod nim, nie wytrzymał, runął z góry jak jastrząb i celnym ogniem zważył na ziemię jedną z maszyn atakujących Leszka.

Sytuacja stawała się poważna. Pogorszyła się jeszcze , gdy, nie wiadomo skąd przybyły, wmieszał się do walki świeży patrol myśliwski nieprzyjaciela. Teraz każdy z chłopców miał

przeciw sobie trzy samoloty zgniatające go ku ziemi.

Wtedy przybył ratunek. Niemal w ostatniej chwili.

Między walczących wpadł zwinny, kąśliwy jak osa Pezetel z lśniącem w słońcu napisem: „Grey”.

Tak, to Grey przybywał, aby w niespełna trzydzieści sekund uzyskać swoje trzecie i czwarte zwycięstwo tego dnia. Stało się to tak błyskawicznie, że nikt nie zdołał nawet zauważyć, kiedy dowódca eskadry brał na cel Niemców.

Potem rzucił się między Bielaka a nacierające na nago Messerschmitty, niemal otarł się skrzydłami o ich kadłuby i rozpędził na cztery wiatry atak, aby już w następnym ułamku sekundy wpakować innemu hitlerowcowi całą serię w cylindry silnika. Wszędzie go było pełno; jakby nie jeden, lecz trzech Greyów spadło na karki Niemców. Rzucił maszyn od jednej grupy walczących do drugiej, gonił, rozbijał w puch!

Już po paru minutach zdawało się, że Pezetele rozporządzają przewagą.

Nie wytrzymały tego natarcia lub raczej tego szeregu. krótkich i szybkich jak myśli uderzeń, samoloty nieprzyjacielskie. Pryśły na wszystkie strony, rzuciły się do ucieczki.

Dwa z nich pomknęły na wschód ponad Kuźnicą, w kierunku linii polskich. Za tymi pogonił Wirecki, jakby na niewidzialnej nici uczepony pod kadłubem bliższego.

Zauważywszy pomyłkę w kierunku ucieczki, piloci niemieccy położyli się w dwa odśrodkowe łuki wirażów. Stefan skręcił za swoim na prawo i stracił z oczu drugiego. Raz, czy może dwa razy, oglądał się za nim, ale na próżno; więc postanowił skończyć z tym jednym.

Gnał na pełnych obrotach, nie zbliżając się wprawdzie, ale i nie pozwalając mu się oddalić. Dzieląca ich odległość ciągle wynosiła około trzystu metrów. Nie chciał strzelać z tak daleka, aby nie marnować amunicji, której zostało mu niewiele. Był przecież sam i pędził

w głąb nieprzyjacielskiego terytorium. Musiał liczyć się z ewentualnością stoczenia jeszcze jednej walki w powrotnej drodze.

Ale czas mijał, a uciekający nie był ani o cal bliżej niż poprzednio.

Ostatecznie trzeba było zdecydować się i albo ostrzelać go zaraz, albo dać za wygraną.

Wirecki, wybierając pierwszą ewentualność, uchwycił na cel środek Messerschmitta.

Karabiny zatargały się jak ujadające psy na łańcuchu. „popielate smugi pocisków dotknęły uciekającej maszyny. Zatoczyła się, legła w wiraż, śmignęła w górę i popłynęła dalej. Je jej pilot mylił się sądząc, że na długo uniknął niebezpieczeństwa: Wirecki powtórzył

dokładnie każdy jego ruch i natychmiast posłał mu nową serię.

Tym razem była widocznie bliższa celu, bo Niemiec wywinąwszy w górę gwałtowną świecę przymknął gaz i wprowadził swój samolot w korkociąg.

I znowu — jak poprzednio w podciągniętym wirażu — Wirecki szedł za nim w warczących zwojach korkociągu. Znowu wymknął się z nich w tym samym co on momencie, by nacisnąć spust w chwili, gdy sylwetka Messerschmitta znane w celowniku.

Gruchnęła nowa seria. Uciekający obejrzał się, a potem spojrział w dół, na ziemię.

Stefanowi mignęła jasna plamka jego twarzy. Poszedł za kierunkiem wzroku swojej ofiary.

Pod nimi leżało jakieś lotnisko. Od szarzielonego pola odrywały się ciemniejsze sylwetki trzech samolotów z czarnymi krzyżami na skrzydłach.

Zaraz też Niemiec przymknął gaz, a Stefan pocisnął ster i na pełnych obrotach otworzył

ogień.

Zagrzechotała ostatnia długa seria, po której zabrakło amunicji. Wirecki był bezbronny.

Ale jego przeciwnik zszedł w korkociągu do samej ziemi i grzmotnął w środek lotniska zakopując głęboko silnik pod zszarpanymi na bezkształtną masę szczątkami.

Wirecki czuł za sobą pogoń. Chciał zawrócić na wschód, ale odcinały mu odwrót dwa równoległe patrole. Defilada w obliczu sześciu maszyn byłaby samobójstwem, więc z konieczności musiał gnać przed siebie. Postanowił dopuścić ich bliżej i wtedy spróbować wymknąć się przez niespodziewany wywrót. Miał jedną szansę na dziesięć.

Właśnie chciał zmniejszyć gaz, gdy nagle silnik przerwał raz, drugi, trzeci...

— Tego tylko brakowało — mruknął. — Musiał dostać w przewody smaru. Ładna historia!

Nie miał już czasu myśleć o konsekwencjach nieostrożności, jaką niewątpliwie była pogoń za nieprzyjacielem tak daleko od własnych linii, bo silnik zakrztusił się po raz ostatni i stanął.

Jednocześnie kadłub został osmagany pierwszymi pociskami pogoni.

Wirecki rozejrzał się w terenie. Pod nim, o paręset metrów zaledwie, widać było rozległą wieś, za którą zaczynały się zagajniki i zarośla przechodzące w las. Wszystko to leżało na poszkarpionych wzgórzach, z wijącą się w parowie drogą.

Śliczne miejsce! — pomyślał. — Jeszcze tu kark skręcę.

Nie chciał ryzykować skoku ze spadochronem. Te szelmy na pewno ustrzeliłyby mnie bez żadnych skrpułów — powiedział sobie.

Słyszał już o podobnych wypadkach: wróg był bezwzględny i nie szanował rycerskich tradycji lotniczych.

Stefan zdecydował się szybko. Wybrał niski zagajnik świerczyny pod samym lasem na łagodniejszym zboczu. Zaczął lądować mając wiatr w lewą burtę. Oba ścigające go klucze przeszły nad nim i położyły się w ostry wiraż, aby ostrzelać zwyciężonego, ale żyjącego jeszcze przeciwnika, albo też' zobaczyć, co się z nim stało.

Kiedy nurkowali na zagajnik, samolot Stefana właśnie zawrócił w miejscu, już na ziemi, zaczepiwszy skrzydłem o jakieś większe drzewo. Był cały i nie uszkodzony. Gdyby nie silnik...

Pociski zagwizdały cienko, bzyknęły blisko, pacnęły w ziemię, zabębniły po skrzydłach.

Stefan śpieszył się. Nie miał czasu myśleć o niebezpieczeństwie. Otworzył kran od benzyny, potem gorączkowo szukał zapalek. Ale zapalek nie było na zwykłym miejscu w prawej kieszeni. To go zaskoczyło. Za nic nie chciał zostawić samolotu w stanie zdatnym do użytku, a czas naglił. Lada chwila mógł zjawić się jakiś oddział wojska. Wtem błysnęła mu myśl. Iskrownik!

Tak, iskrowniki były przecież w porządku. Gorączkowo zerwał maskę silnika.

Umoczywszy chustkę w benzynie włożył ją między koniec kabla wysokiego napięcia a maskę motoru. Pokręcił korbką rozrusznika. Sypnęły się iskry i buchnął płomień.

*

Greya ogarnęły złe przeczucia. Od kwadransa krążyli w dwanaście maszyn nad Kuźnicą. Trzynasta nie przybywała.

Grey wiedział już, że była to maszyna Wireckiego: czwarty patrol krążył bez dowódcy...

Z ciężkim sercem dał sygnał. Dyżurny klucz Kramera wziął wysokość i pozostał w strefie patrolowania. Inni w ciasnym szyku lecieli za dowódcą eskadry.

Na lotnisku czekał Gałęcki z mechanikami. Czas dłużył się im okropnie i kiedy wreszcie na horyzoncie zamajaczyły znajome sylwetki maszyn, werkmistrz aż strzepnął palcami z zadowolenia.

Potem zaklął soczyście i zapalił papierosa, a później zaczął liczyć maszyny.-

— Dziewięć — powiedział zaniepokojony. — Albo zostało czterech na patrolu, albo...

Szyk podchodził pod wiatr. Gałęcki poznał maszynę Greya i odetchnął z ulgą: ten przynajmniej wraca. Ale kogo brak?

Samoloty kolejno osiadły na rżysku. Grey wyskoczył pierwszy i z jego zasępionej twarzy werkmistrz wyczytał smutną wiadomość.

— Wirecki — powiedział dowódca:

— Zginął, panie kapitanie?

— Nie wiem. Zaginął. Może będzie jaka wiadomość, może przyleci?...

Chłopcy rozmawiali półgłosem. Byli przygnębieni.

Grey zarządził krótką odprawę i przygotowanie maszyn. Na odprawie o Wireckim mówił jak najmniej. Stwierdzał fakty. Ogółem, jak się okazało, zestrzelono dziewięć samolotów nieprzyjacielskich nie licząc dwóch maszyn, z którymi walczył patrol Kramera i co do których nie było jeszcze pewnych wiadomości.

— Bardzo dobrze — powiedział Grey i odesłał wszystkich do Gałęckiego.-

Ale praca przy maszynach skończyła się prędko. Wrócił Kramer zlurowany przez Radlicza i nadszedł czas obiadu.

Zajęli zwykłe miejsca w głębokim milczeniu. Grey zaczął wypytywać Kramera o szczegóły walki jego patrolu.

Andrzej odpowiadał zrazu lakonicznie, ale wkrótce ożywił się i stracił sztywność języka.

Walka z samolotami bombowymi nie była łatwa. Wprawdzie były obciążone bombami, ale za to silnie uzbrojone. Załogi nie żałowały amunicji.

Nieprzyjaciel liczył widocznie na to, że wysłane wcześniej Messerschmitty wymiotą polskich myśliwców. Dlatego wyprawa bombowa nie spodziewała się spotkać kogokolwiek po drodze.

Widząc strzelaninę na długą metę, Kramer powiedział sobie, że kto strzela z daleka, musi być kiepskim strzelcem. Wobec tego zaatakował całe zgrupowanie z boku. Już jednak po krótkiej chwili przekonał się, że niesłusznie lekceważył przeciwników. Pociski bębniły po masce jego silnika i szły przez skrzydła. Przyczyną wczesnego ognia nie była więc niepewność strzelców, tylko duży zapas amunicji, której nie potrzebowali oszczędzać.

Chcąc nie chcąc, Jędrak musiał szukać martwych pól ostrzału i stamtąd dopiero przypuścić atak, tym razem skuteczny. Trzy załogi już gryzą ziemię. Pozostałe cztery zawróciły, wyrzucając bomby w szczerym polu.

Andrzej nagle urwał; spojrzenie jego padło na puste krzesło Wireckiego.

— A Stefan... — zaczął i nie mógł dokończyć.

Grey wstał od stołu. Sam z trudem opanowywał przygnębienie i smutek.

Wiedział, że to przejdzie, że na wojnie szybko zapomina się o tych, co polegli, choćby żał po ich stracie był z początku nawet bardzo bolesny.

Trzeba ten żal zamienić w chęć odwetu — pomyślał. — To im ulży. I mnie także...

Noc zapadała szybko. Stefan był tak zmęczony i głodny, że ledwie mógł iść dalej. Do wieczora przeleżał w rowie przydrożnym na skraju lasu, do którego doszedł po godzinie marszu. Dalej droga skręcała przez osadę składającą się z kilku gospodarstw, nie zajęta widocznie przez wojsko, bo nigdzie nie mógł dostrzec mundurów niemieckich.

Rozłożyste krzaki jeżyn i cierni zakrywały go doskonale w tym rowie, do którego wpłynął nie chcąc za dnia ryzykować przejścia między domami. Obawiał się tylko, aby nie wytropiły go psy ujadające w opłotkach. Ale wiatr wiał stamtąd i nie zwęszyły go.

Mimo to niepokój nie pozwalał mu usnąć i teraz czuł się rozbity, jakby nie odpoczywał wcale.

Wlokąc ociężale nogi po piasku, wśród zapadającego mroku zdążał na wschód, omijając ludzkie siedziby. Przekradał się lasami, z nadzieją dotarcia do linii frontu.

Przebycie tych linii wydawało mu się dość łatwe. Najtrudniejsze było przebrnięcie przez tyły i pas przyfrontowy wroga; Każdej chwili mógł się natknąć na jakiś oddział wojska, którego pełno było w miasteczkach i po drogach.

Wirecki obliczał, że do frontu jest ze sześćdziesiąt kilometrów. Niepodobieństwem było przebyć taką przestrzeń w mundurze. Należało jak najprędzej postarać się o ubranie cywilne, ale stanowiło to nie lada trudność.

Nad ranem dotarł do małego folwarczku z zabudowaniami otoczonymi niskim murem z cegły. Tuż przy murze zaczynał się wysoki akacyjny żywopłot, rosnący dalej wzdłuż drogi, która łączyła folwark z nie ogrodzonym sadem w czystym polu. Żywopłot był tak gęsty, że zasłaniał całkowicie dalszy widok.

Przy wjeździe między budynki, u wrót bramy Wirecki zobaczył sylwetkę żołnierza z karabinem na pasie, widocznie folwark zajęty był przez jakiś oddział wojska; Świt wstawał szaroróżowy, mglisty, prawdziwie jesienny, choć pogodny.

Za pół godziny zrobi się widno. Trzeba wyszukać schronisko na cały dzień i wyspać się porządnie — pomyślał zbieg; Leżąc w wysokiej trawie rozglądał się za jakimś ukryciem ale najbliższa okolica po tej stronie folwarku była pusta; Rzuciwszy okiem na wartownika przed bramą i stwierdziwszy, że nigdzie w pobliżu nie ma ludzi, postanowił wykorzystać chwilę, w której żołnierz jednostajnie przechadzający się tam i z powrotem będzie odwrócony do niego plecami, podpełznąć do żywopłotu i zbadać, co się za nim znajduje.-

Właśnie miał zamiar wykonać to postanowienie, gdy padła jakaś komenda, wszczął się ruch i nagle jego uszu doszły dobrze znane odgłosy zapuszczanego silnika.

To go zelektryzowało: czyżby za żywopłotem było niemieckie lotnisko?!

Wtem przypomniał sobie, że ścigając wczoraj samolot, który wreszcie udało mu się zestrzelić, przeleciał nad lotniskiem. Z tego lotniska wystartowały dwa klucze, które

następnie odcięły mu odwrót.

Silnik za żywopłotem warknął i zagdakał na małym gazie. Żołnierz na warcie przystanął i patrzył w tamtą stronę. Wirecki nie mógł się teraz poruszyć. Czekał; Minuty pełły wolno, rozciągając się w nieskończoność... Wreszcie wartownik znów zaczął przechadzać się przed bramą. Ale jednocześnie od strony sadu ukazał się oddział maszerujący drogą do folwarku. I znów minęło kilka minut zanim przeszli.

Tymczasem silnik grał coraz głośniej, aż ryknął na pełnych obrotach, po czym przycichł, jakby zmęczony, a jednak z obowiązku czynny. Wtedy warknęła druga, a zaraz po niej trzecia maszyna i zaczęły mleć śmigłami, gdacząc, klekocząc i szemrzając, jakby odmawiały poranne modlitwy. Jakiś patrol — pomyślał Stefan. Żołnierz odwrócił się właśnie tyłem u węgła muru. Wirecki skoczył na równe nogi, już nie zachowując zbytnej ostrożności, bo warkot silników zagłuszał jego kroki, przebiegł drogę i ukrył się w krzakach akacji. Nikt go nie zauważył.

Rozchylił gałęzie i spojrział.

Na prawo stały namioty z szarzielonego płótna, a obok — samoloty!

Aż mu serce zabiło: to było coś bliskiego i znanego — samoloty!

Minęła dłuższa chwila zanim zdołał otrząsnąć się z wrażenia. Należało coś przedsięwziąć. Najeżało działać.

Nie zastanawiał się jak i co; wiedział już od chwili, kiedy usłyszał odgłos zapuszczanego silnika. Wiedział, choć dotychczas nie zdawał sobie z tego sprawy. To rozumiało się samo przez się: tam stały niemieckie samoloty pracujące na małym gazie, on zaś był pilotem, z

tych dwóch faktów wypłynął prosty wniosek; uciec drogą powietrzną.

Z najbliższej maszyny wyskoczy! mechanik i podszedł do grupy rozmawiających pilotów. Zasalutował.

Wiem ktoś krzyknął, ktoś zaczął biec, ktoś strzelił!

Za późno.

Messerschmitt na pełnym gazie ruszył do startu. Wirecki zdzierał go już w ostrym amerykańskim, biorąc kierunek na wschód.

*

Rój złożony z dwunastu maszyn wykreślił sprawnie pod wiatr. Wyleciał przed wschodem słońca, właściwie bez żadnego określonego celu. Byli wolni i mogli robić, co im się podobało, bo z dowództwa nie przyszły specjalne polecenia na rano.-

Grey kazał obudzić ich jeszcze w nocy. O brzasku jutrzeńki wystartowali.

Każdy z nich oczekiwał tego i nikt nie był zdziwiony wczesną wyprawą. Grey nie potrzebował mówić, w jakim celu zabrał wszystkich nad pozycje nieprzyjaciela.

Myśleli o jednym: znaleźć rozbite szczątki samolotu Wireckiego i pomścić jego śmierć na każdym Niemcu spotkanym w powietrzu.

To było zupełnie zrozumiałe i jasne. Tak rozumiałe, że Gałęcki, który znał Greya na wylot, przygotował bez rozkazu wszystkie maszyny i czekał z mechanikami już na godzinę przed startem. A Grey wcale się nie zdziwił, gdy na pytanie, kiedy będzie można startować, odpowiedziano mu, że samoloty już są wyprowadzone i gotowe do lotu.

Raz tylko uśmiechnął się tego ranka. Tym uśmiechem podziękował werkmistrzowi.

Teraz leciał na czele roju. Nurtowała go pasja. Nie mógł darować losowi nawet tego jednego życia, które zgasło w zamian za śmierć jedenastu wrogów.

Pilot myśliwski zużywa się w ciągu roku, to znaczy ginie. Po upływie roku mogła wyginać cała eskadra i trzeba było się na to przygotować. Ale pierwszy cios, pierwsza szczyrba była najdotkliwsza.

Na ziemi panował spokój. W powietrzu zasnutym mgłą leżała miękka cisza wchłaniająca rozedrgany szum i warkot silników. Tu i tam kłębiły się zawoje białych, pierzastych obłoków. Ciągnęły z daleka stada wron myląc wzrok, jeśli oddzielały się od nich pojedyncze ptaki podobne na pierwszy rzut oka do sylwetek samolotów.

Zresztą było pusto.

Rój ciągnął zygzakiem, wchodząc w głąb terytorium nieprzyjacielskiego. Rój wyraźnie demonstrował i szukał walki.

Nikt nie starał się zatrzymać go w drodze. Przeciwnika nie było, jego dywizjony myśliwskie ukryte na polowych lotniskach trwały w sennym bezruchu. Wyprawy bombowe jeszcze nie wystartowały. Ale Grey wiedział, że ta beczynność jest tylko chwilowa.

Miał nadzieję, że mu się uda zaskoczyć Niemców przed startem i sprawić im łaźnię.

Taki meldunek wysłał właśnie do sztabu;

Ale w gruncie rzeczy powód był inny. Po prostu chcieli się bić. Chcieli bić. Za Wireckiego. Myśleli, że może uda się odnaleźć szczątki zestrzelonego Pezetela.

Mieli ze sobą trzy wieńce z jedliny opasane czarnymi wstęgami. Wieńce przeznaczone dla pilota eskadry, który pierwszy poległ.

Kiedy rój po raz piąty zawrócił z południa na północ, odcinając nowy

dziesięciokilometrowy pas przestrzeni, nagle z gęsto podszytego lasu huknęły głucho działa obrony przeciwlotniczej, a dokoła lecących bluznęły kępki dymu.

Wyglądało to jak ostrzeżenie.

I zaraz drobne obłoczki zaczęły otaczać ich coraz ciaśniejszym kręgiem, wykluwając się w złych, szarpiących powietrze rozpryskach.

Wtem samolot Grey a zakołysał się trzykrotnie w dół i w górę,

Natychmiast jak rój podrażnionych os maszyny opadły w dół. Zaterkotały serie.

Po gałęziach drzew przeszedł dreszcz wzbudzony opancerzonym stałą ołowiem.

Sieczone pociskami pnie i liście zadrgały, a samoloty uwijały się nad nimi, spadając jak sępy na żer i plując ogniem.

Artyleria umilkła. Przerażona obsługa znieruchomiała przy jaszczach oczekując w każdej chwili śmierci od gwizdzących pocisków, które szły gradem przez gałęzie i z jednostajnym cykaniem grzęzły w ziemi, stukały w pnie, dzwoniły o spiż armatnich luf. Tu i ówdzie padał człowiek. Tu i ówdzie, mech ssał czerwone, gęstniejące kałuże krwi, w których pływały suche, pożółkłe igły sosen.

Wreszcie kanonierzy nie wytrzymali i rozbiegli się po lesie porzucając sterczące ku niebu szybkostrzelne zenitówki. Pociski prały przez chwilę po liściach, po jaszczach i osłonach dział, aż niewidzialny z dołu sygnał zamknął rozszechkane pyski karabinów.

Grey pierwszy zobaczył przemykającą nisko nad skrajem lasu maszynę z czarnymi krzyżami na skrzydłach i dał sygnał do zbiórki.

W pięć sekund rój w szyku bojowym gnał już za nim na zgubę nieostrożnego pilota, który zapuścił się sam jeden w tę stronę.

Doganiał go szybko i po chwili Grey mógł rozróżnić sylwetkę samolotu. Ryła to łatwa zdobycz: nieco przestarzały samolot myśliwski o prędkości niższego rzędu niż nowe Messerschmitty i nie tak silnie uzbrojony. Pilot tej „skrzyni” nie mógł nawet myśleć o obronie przed całą eskadrą P-II. Jedynym jego ratunkiem było natychmiastowe lądowanie albo skok ze spadochronem.

Ale na swoje nieszczęście nie pomyślał o tym. Parł wprost na wschód cisnąc maszynę na pełnym gazie, aż wyła od pędu. Czyżby przypuszczał, że tym sposobem umknie?

Była to złudna nadzieja. Pezetele doganiały go metr po metrze. Lada chwila mogły rozpocząć ogień. Były już blisko, na normalnej odległości trafienia z karabinów maszynowych.

Każdy inny strzelałby od dawna, ale Grey strzelał z trzydziestu metrów, aby nie psuć amunicji.

Nieprzyjacielski pilot, jak gdyby wiedział o tym, na pięćdziesiąt metrów przed śmigłem dowódcy polskiej eskadry zrobił kapitalną, nieprawdopodobnie wysoką świecę, po czym nie czekając na powtórzenie manewru przez swego prześladowcę, skręcił w prawo, nagle przerzucił się w wywrocie i tuż pod pierwszymi trzema samolotami roju wyrwał w przeciwną stronę.

Takiego wybiegu nie przewidział nawet Grey. Znadto był pewny bliskiego zwycięstwa.

Klucz przeszedł nad uciekającym Niemcem i odbił się o jakieś czterysta metrów od niego.

Tchórz — pomyślał kapitan. — Mógł nas zaatakować od spodu i zginąć w pięknej walce. Nie uczynił tego i przypuszcza, że uda mu się zwać. Ale manewr był świetny —

przyznał w duchu. — Trzeba uważać, może jeszcze zaatakuje? No i trzeba z nim skończyć.

W tej chwili zobaczył w okrągłym wklęsłym lusterku przy prawej burcie, że pięć ostatnich maszyn roju kładzie się na skrzydło w ostry wiraż o 180 stopni, Spojrzał za siebie.: O jakieś pół kilometra w tyle spod ulewy słonecznych promieni wymykały się zawracając na zachód dwa nieprzyjacielskie samoloty. Dalej jeszcze i dużo wyżej ciągnęła trójka jakiegoś myśliwskiego klucza, który widocznie miał zamiar przejść do natarcia.

Podstęp? — pomyślał Grey. — Dam ja wam podstępny!

Czerwona rakietka syknęła złośliwie, pozostawiając za sobą błękitnawy ślad dymu, aż trysła iskrami i zgasła.

Cztery następne samoloty eskadry skoczyły w górę ku patrolowi myśliwskiemu. Za Greyem zostały dwie maszyny: Kramera i Plichty.

Parli naprzód co sił w motorach. Znow doganiali wymykającego się nieprzyjaciela.

I znow niemiecka maszyna pięćdziesiąt metrów przed śmigłem dowódcy wykonała najbardziej nieoczekiwany manewr. Jakby ją kto zdmuchnął z pola widzenia prześladowców.

Zresztą Grey widział, jak się to odbyło. Tylko tak był zaskoczony, że nie zdążył na czas powtórzyć skomplikowanych ruchów sterami.

Uciekający poderwał się do ciasnej pętli, ale wpół drogi zwolnił ster.

Pójdzie w korkociąg — pomyślał kapitan i już skrzyżował stery przymykając gaz.

W tej samej chwili zauważył, że silnik tamtego ryczy pełną mocą.

Immelman? — zawahał się.

Nie był to immelman. Było to coś, co wymagało najlepszej ręki, największego czucia, „koronkowej roboty”.

W połowie długości łuku pilot zwiększył promień pętli. Zwiększył go akurat o tyle, ile mógł wytrzymać silnik, aby nie pozwolić wciągnąć maszyny w korkociąg i nie zawisnąć na plecach.

A potem wyjście z tej pętli: cóż to był za mistrzowski ruch sterem!

Grey aż przygryzł wargi i mimo woli uśmiechnął się; To byłby prawdziwy człowiek powietrza, gdyby atakował równie odważnie i po mistrzowsku, jak potrafił wymykać się z pola ostrzału.

Pętla Greya była tylko o parę metrów ciaśniejsza, lecz skutkiem tego nieprzyjacieli nagle znalazł się w samym środku klucza. Ani Plichta, ani Kramer nie mogli strzelać. Pociski raziłyby także dowódcę.

Trwało to zaledwie parę sekund, bo Jędrak, a zaraz potem i Grey wykonali gwałtowny zwrot okrążając samolot z prawa; ale ta krótka chwila wystarczyła, aby znow oddzielić ich od Niemca czterystumetrową przestrzenią.

Grey zaczynał tracić cierpliwość. Ta zabawa w kotka i myszkę przeciągała się zbyt długo. Ale w duchu musiał przyznać, że pilot, z którym miał do czynienia, w zupełności dorównywa mu opanowaniem maszyny.

Dlaczego nie atakuje u diabła? — pytał sam siebie chyba po raz dziesiąty, cisnąc samolot na pełnym gazie ku ziemi, bo przeciwnik zniżał lot przebywszy linię polskich okopów. — I dokąd on właściwie myśli zwać?

Kramer tymczasem wysunął się naprzód zachodząc z prawej strony, aby odciąć dalszą drogę ucieczki zręcznemu przeciwnikowi. Plichta zaś szeroko zachodził z lewa.

Dostaniemy go nad samym lotniskiem — obliczył szybko Grey. — Teraz nie będzie mógł się wywinąć.

Ale nad lotniskiem czekała ich największa niespodzianka.

Kiedy je zobaczyli z daleka, nieprzyjaciel po pierwszej serii Andrzeja powiał z kabiny białą chustką na znak, że się poddaje. Potem wyłączył silnik i siadł na polu, tuż obok namiotu.

Grey roześmiał się głośno:

Nie, takiego kawału jeszcze mu nikt nie zrobił. Uciekać sto kilometrów jedynie po to, aby w końcu oddać się do niewoli?!

I znów pomyślał, że jednak ten pilot wymknął się po mistrzowsku całej eskadrze. Nie byle jakiej eskadrze w dodatku: „eskadrze orłów”!

Kimże był ten mistrz i dla jakich powodów nie użył swych karabinów mając do tego kilkakrotnie wspaniałą sposobność?

Zobaczymy — powiedział do siebie półgłosem, dając jednocześnie sygnał do zwrotu w kierunku, reszty patrolu.

Nic się tam. już nie działa: po skończonej walce zostały tylko nowe ślady kul w skrzydłach kilku Pezeteł i szczątki rozbitych pięciu maszyn nieprzyjaciela rozsiane na przestrzeni kilkunastu kilometrów.

Zwycięska eskadra ciągnęła w dwóch grupach ku lotnisku. Grey spotkał je w połowie drogi i zawrócił wraz z nimi.

Pałała go ciekawość, kto był tym dziwnym przeciwnikiem, który potrafił wyrwać się z pazurów śmierci.

Kim był ten akrobata o genialnych pociągnięciach steru w powietrzu, lądujący na polskim lotnisku po śmiertelnym wyścigu z szybszymi od siebie samolotami „eskadry orłów”.

Lądowali krótko, pod wiatr, kończąc dobieg u samych namiotów, gdzie już czekał Gałęcki. Obok stała obca maszyna.

Prawie jednocześnie wyskoczyli wszyscy na ziemię i biegli ku werkmistrzowi, aby się

wreszcie dowiedzieć...-

Nagle stanęli w miejscu. Potem Grey pierwszy krzyknął i zaśmiał się jak szalony.

Krzyczeli głośno, głośno, coraz głośniej. Biegli, śmieli się i znów krzyczeli.

Za werkmistrzem stał Wirecki i śmiał się także. Wyciągnął ku nim ramiona. Porwali go i unieśli w górę.

Stefan!

I nagle zrozumieli.

Pobledli, spojrzeli po sobie rozszerzonymi źrenicami: mógł być zginąć z ich ręki.

— Ale żyje — powiedział Grey wzruszonym głosem.

Gadali jeden przez drugiego, patrzyli w jego zmęczoną, pobladłą twarz, dotykali go dłońmi, aby upewnić się, że istotnie wrócił, że to naprawdę on, Wirecki, żywy i cały.

A Grey promieniejąc dumą i radością ścisnął go za ramię.

Ten chłopak wymknął się jemu, Greyowi! Opanował samolot jak on sam. Potrafił uniknąć śmierci ani razu nie używając karabinów w obronie życia.

Grey miał prawo być dumny: jego słowa o niezwyciężonej eskadrze asów zostały jeszcze raz potwierdzone.

Koniec zbliżał się nieuchronnie. Ani bitwa pod Kutnem, ani Westerplatte i Hel, ani nawet bohaterska obrona Warszawy nie mogły go powstrzymać i odwrócić. Polska nie była przygotowana do wojny. Do takiej wojny.

Potęga niemiecka, narastająca od kilku lat, przewalała się przez nią lawiną żelaznych dywizji, pędziła tysiącami bombowców, przeorywała ziemię dziesiątkami tysięcy dział i czołgów.

„Eskadra orłów” walczyła do ostatka; do ostatniego samolotu.

Osiemnastego września zostało zaledwie pięć maszyn z czternastu. Szczęściem nikt z pilotów nie zginął i latali nadal na zmianę, jeszcze odnosząc zwycięstwa.

Każdy z chłopców miał co najmniej po dwóch Niemców na swoim rachunku. Grey miał ich siedmiu;

Ale pozostałe samoloty zużyły się szybko; Nie można było zastąpić przepracowanych silników nowymi i nie można było nawet marzyć o remoncie starych; Gałęcki dokonywał cudów utrzymując resztki Pezeteli w gotowości bojowej jeszcze w ciągu dwóch dni, lecz dziewiętnastego września zabrakło amunicji i benzyny.

Tegoż dnia Grey otrzymał z czterdziestoosiogodzinnym opóźnieniem rozkaz wycofania się do Rumunii.

Był to chyba najcięższy dzień dla eskadry. Na lotnisku polowym spłonęło pięć samolotów, które piloci sami oblali benzyną samochodową i podpalili na rozkaz Greya.

Potem kolumna złożona z sześciu samochodów ruszyła za małym osobowym wozem dowódcy w stronę Kut.

Jechali nocą, bez świateł, po szosie zawałonej porzuconym sprzętem, wymijając zepsute wozy i niedobitki pieszych oddziałów. Raz po raz zatrzymywały ich zatory tworzące się wskutek uszkodzeń mostów i wypadków z samochodami wojskowymi i cywilnymi, które zdążyły przed nimi w tym samym kierunku.

Nie był to już odwrót, lecz bezładna ucieczka. Nie sposób było utrzymać zwartą kolumnę na zatłoczonej szosie, zwłaszcza gdy z bocznych dróg wdawały się na nią nowe strumienie pojazdów, furmanek, tankietek i samochodów.

Przed jednym z takich skrzyżowań z boczną drogą ostatni samochód „eskadry orłów”, którym jechali Plichta i Bielak, musiał się zatrzymać z powodu pęknięcia dętki. W

ciemnościach nie zauważono ich nieobecności na końcu kolumny. Tymczasem z bocznej drogi wpadły na szosę główną wozy jakiegoś ministerstwa i długi sznur autobusów miejskich ewakuowanych wraz ze strażą ogniową z Warszawy.

Plichta, Bielak, a wraz z nimi kilku mechaników zostali odcięci od reszty transportu.

Zjechali w bok, na skraj lasu i zabrali się do naprawy uszkodzenia. Kierowca przy pomocy jednego z brygadzystów zdjął koło i zaczął je demontować, bo nie mieli już rezerwy. Plichta z Bielakiem stali opodal paląc papierosy. Fala ludzi i wozów na szosie mijiała ich dudniąc, szemrząc i hucząc. Przewaliła się i ucichła w oddali.

Szosa opustoszała na chwilę, ale już słychać było warkot nadjeżdżających nowych kolumn. Tym razem bas silników był głębszy, a szcęk i zgrzyt, jakie mu towarzyszyły, mogły pochodzić chyba tylko od gąsienic ciężkich czołgów; Jakiś oddział pancerny — pomyślał Adam, usiłując przebić wzrokiem ciemność.

Nie mógł nic dojrzeć, choć potężny rumor urastał z każdą sekundą. Nagle tuż przed sobą dostrzegł jakąś wielką ruchomą masę, która pędziła wprost na niego. Krzyknął i odskoczył w bok. Coś przewaliło się przez płytki rów i z impetem wpadło na ciężarowy samochód eskadry. Rozległ się trzask zderzenia i gruchot przewracanego wozu, Potem okrzyki i przekleństwa.

Czołg wykręcił na miejscu, ruszył, wspiął się z powrotem na szosę i dopadł swego miejsca. Kolumna znów gnała naprzód pełną szybkością.

Grey od świtu czekał na wóz Plichty i Bielaka, wysławszy resztę transportu naprzód przez most graniczny. Ale zbliżało się południe, a ich nie było widać.

Ostatnie oddziały przeszły na stronę rumuńską i straż graniczna opuściła bariery, on zaś jeszcze nie chciał zrezygnować, łudząc się, że zaginiony samochód nadjedzie lada chwila.

Parę minut przed dwunastą oficer dowodzący załogą strażnicy zawiadomił go, że jeśli nie zdecyduje się zaraz przejechać granicy, to będzie musiał pozostawić wóz po stronie polskiej, bo władze rumuńskie zamkną przejazd.

Grey odrzekł, że w ostateczności przejdzie pieszo.

— Wkrótce i na to może być za późno — mruknął oficer i odszedł.

Nadjechały trzy wozy ambulansowe Czerwonego Krzyża. Grey wypytywał sanitariuszy, czy nie widzieli po drodze lotników. Ale nie uzyskał żadnych pewnych wiadomości:

może i byli tam jacy lotnicy, a może nie. W tym zamęcie trudno było zwracać uwagę na mijane po drodze oddziały, a cóż dopiero na pojedyncze wozy czy grupki żołnierzy.

Zdecydował się sam wrócić, aby ich szukać. Już siadał za kierownicę swego samochodu, gdy ze strażnicy wezwano go do telefonu;

Oni! — pomyślał,

Ale nie był to ani Bielak, ani Plichta. Dzwonił Wirecki z polecenia szefa sztabu lotnictwa, aby Grey natychmiast zgłosił się w mieście Tulcea w dowództwie.

— Nie ma dotychczas Bielaka i Plichty — powiedział Grey. — Chcę ich szukać...

— Meldowałem o tym pułkownikowi — przerwał mu Wirecki. — Kazał panu powiedzieć, że pańska obecność w dowództwie jest ważniejsza; że ma pan natychmiast przyjechać.

Grey zaklął: „Niech to najjaśniejsze pioruny!” i odłożył słuchawkę.

Wrócił do samochodu, wsiadł i nacisnął starter. Silnik chwycił od razu. Wzrok dowódcy wybiegł daleko w lewo. Na prostą Opustoszałą szosę. Na prawo był most graniczny.

Sprzęgło i pierwszy bieg. Wóz drgnął i wolno ruszył z miejsca.-

Rozkaz jest rozkazem — pomyślał Grey. — Tamci dwaj muszą sobie radzić beze mnie...

Grey nie pozwolił sobie zabrać samochodów i ani myślał stosować się do sprzecznych zarządzeń władz rumuńskich;

Zaraz po odprawie w dowództwie, w myśl otrzymanych instrukcji zdał cały posiadany sprzęt polskim władzom wojskowym w Tulcea i umieściwszy swych mechaników na tymczasowych kwaterach zajął się przygotowaniami do „ewakuacji” pozostałych pilotów eskadry.

« 450 »

Pierwszym celem ich dalszej podróży był Bukareszt.

Przebrali się po cywilnemu, zakupiwszy gotowe ubrania po drodze, i bezczelnie udawali wycieczkę z Polski, którą wypadki wojenne zaskoczyły w Rumunii.

W Bukareszcie Grey pojechał przede wszystkim do ambasady brytyjskiej, a stamtąd do ministerstwa spraw wewnętrznych Rumunii. W trzy dni potem miał już paszport z wizami tranzytowymi przez całą Europę i pozwoleniami na pobyt w Wielkiej Brytanii.

Zameldował się u polskiego attache wojskowego, otrzymał pieniądze i z nową nadzieją w sercu poszedł do hotelu, gdzie wyznaczył był odprawę swoim „orłom”.

Czekali na niego niecierpliwie, niepewni, czy mu się udało, bo nie informował ich o skutkach swoich zabiegów. Ale gdy tylko wszedł, wyczytali z jego oczu pomyslnie nowiny: — Będziemy się bili nadal — powiedział. Podniosła się wrzawa. Omal go nie powalili na ziemię

z radości. Uspokoił ich wreszcie i wtajemniczył we wszystkie szczegóły.

— Jutro jedziemy do Zagrzebia — zakończył. — Uszy do góry! Damy jeszcze Niemcom taką szkołę, że iskry będą szły!

Przez Jugosławię i Włochy, przez Zagrzeb, Triest, Wenecję, Mediolan i Turyn, a później przez Lyon i Paryż jechali do Hawru. Tam wsiedli na statek, który okrążywszy Anglię od południa i zachodu, po dwóch dniach przybył do Liverpoolu.

To wszystko było jak sen; jak sen groźny, tragiczny, nieprawdopodobny, lecz zarazem porywający. Życie ich przeskoczyło na jakiś nie znany tor, którym pędzili nie wiedząc

dokąd, poprzez zdarzenia najbardziej niezwykle i nieoczekiwane, Mimo klęski, mimo smutku, mimo tęsknoty i niepokoju o najbliższych, wreszcie mimo zaginięcia Bielaka i Plichty, to nowe życie wydało im się tak wspaniałe, otworzyło przed ich zdumionym wzrokiem tyle nowych obrazów, stało się taką przygodą, że rzucili się w nią bez wahania.

Grey był z nimi. Lub raczej oni byli z Greyem. To, co znali z opowiadań o jego przygodach, teraz miało swój ciąg dalszy, ale sami brali już w tym dalszym ciągu udział. Nic dziwnego, że mogło im się to wydawać snem lub awanturnicznym filmem. I gdy raz po raz uświadamiali sobie, że to jest właśnie rzeczywistość, zaledwie mogli uwierzyć, że sami ją przeżywają.

Toteż dwa tygodnie odpoczynku, który przepisały im wojskowe władze brytyjskie, odpoczynku w nadmorskiej miejscowości kąpielowej, wydały im się przerwą aż nazbyt długą, zwłaszcza że Grey zostawił ich samych i pojechał z Gałęckim do Londynu. Uczyli się angielskiego, pływali w krytym basenie, grali w tenisa, jakby nie było wojny. Ale była to dla nich ciężka próba cierpliwości.

Wreszcie Grey wrócił. Wrócił w mundurze squadron leadera z rozkazem przeszkolenia dziesięciu pilotów „eskadry orłów” na myśliwskich samolotach brytyjskich.

— Będziemy znowu latać — powiedział do chłopców. — Będziemy znowu walczyć.

Utworzymy samodzielny dywizjon polski na Hurricane'ach. Pamiętajcie: ten dywizjon musi zdobyć sławę. Musicie pokazać Anglikom, ile są warci polscy lotnicy. Nie wiem, co nas czeka i co czeka jeszcze Wielką Brytanię, ale teraz walczyć będziemy razem. Myślę, że w końcu zwyciężymy; Spojrzeli po sobie.-

Zwyciężymy! — powtórzyli w duchu.

Był dzień szósty maja roku 1945. Polski dywizjon „orłów” powracał przed zmierzchem na lotnisko polowe z dalekiego wypadu wzdłuż Elby, wystrzelawszy ostatnie naboje do cofających się w popłochu niemieckich transportów samochodowych, które ugrzęzły na drodze przeoranej ogniem artyleryjskim i gąsienicami czołgów.

Od dawna trudno już było o spotkania w powietrzu, więc strzelanie do celów ziemnych stało się niemal jedynym zadaniem lotników myśliwskich.

Niemiecka Luftwaffe nie ośmielała się atakować, rzadko kiedy usiłowała się bronić; resztki jej eskadr skupione w rejonie Berlina ginęły kolejno na własnych lotniskach; Lotnicy Goeringa, niegdyś butni, bezlitośni korsarze powietrzni, dla których strzelanie do kobiet i dzieci lub podpalanie wsi w Polsce stanowiło ulubioną zabawę, dziś upadli na duchu. Nie stać ich było na zaciętość, na hart i męstwo, jakich dowody dawali Polacy, Anglicy i Rosjanie w najcięższym okresie wojny, wówczas gdy potęga lotnicza Rzeszy osiągała swój punkt szczytowy, gdy broniła się samotna Warszawa, płonął Londyn i bohaterski Stalingrad walił się w gruzy. Dziś, znalazłszy się w matni, lotnicy Luftwaffe nie ośmielali się już stawiać czoła zwycięzcom; nie chcieli walczyć nie mając dawnej przewagi.

Dlatego dywizjony bombowe Rafu nie potrzebowały już tak silnych osłon myśliwskich, myśliwcy zaś musieli szukać innych celów niż dotychczas. Dlatego coraz częściej zdarzało się, że piloci Greya zaniedbując ostrożność wystrzelili całą amunicję przed powrotem z dalekich wypraw.

I teraz oto lecieli w dwu luźnych szykach eskadrowych nie zaczepiani przez nikogo, jakby wróg w powietrzu w ogóle nie istniał.

Doszli nad skrzyżowanie szosy z torem kolejowym, minęli szeroko rozlane wody kanału, na którym nieprzyjaciół pozrywał tamy i groble, i zobaczyli ruiny miasta po lewej stronie rzeki.

Tam było lotnisko.

Pierwsza eskadra pod dowództwem Wireckiego zeszła do lądowania. Grey na czele drugiej okrążył miasto.

Gdy szyk Stefana kołował już na „miejsca rozproszenia” w kierunku południowego skraju lotniska, dowódca dywizjonu dał sygnał swojej piątce. Szczerbiński, jak zwykle, zajął jego miejsce i pierwszy zamknął gaz wypuszczając podwozie. Za nim zrobili to pozostali, podczas gdy dowódca dywizjonu raz jeszcze okrążył miasto, aby, jak zawsze, lądować ostatni.

Wtedy spoza chmur, z wysoka wysypały się Focke-Wulffy i runęły w dół, z wysoka otwierając ogień po maszynach. Ich zjawienie się było tak nagłe i niespodziewane, że dopiero smugi pocisków uprzytomniły lądującym śmiertelne niebezpieczeństwo: nikt prócz Greya i Kramera nie miał już amunicji; dywizjon był niemal bezbronny.,; Niemcy właśnie

na to liczyli. Na to i na zaskoczenie, które zresztą udało im się całkowicie: atak nastąpił w chwili, gdy polskie samoloty bądź znajdowały się na ziemi, bądź

lądowny z resztkami paliwa w zbiornikach. Nie można było poderwać ich natychmiast do walki...

Grey zrozumiał to od razu i bez wahania wydał przez radio rozkazy:

„Wszyscy lądować! Obsługa lotniska do karabinów maszynowych! Wzywajcie pomocy przez radio!”

Kramer zameldował, że ma jeszcze czym strzelać.

„Dobrze — powiedział Grey, — Leć do Wittenberga i sprowadź Mustangi”

Sam, nie zauważony dotąd przez napastników, wszedł na koniec ich zgrupowania, gdy zawracali, aby powtórnie ostrzelać lotnisko. Dopadł ostatniego i pierwszą serią zapalił mu zbiornik. Nie czekając aż Niemiec zwali się na ziemię złożył się do następnego i pruł od spodu, póki nie ujrzał czarnego ogona dymu, który wywinął się z Focke-Wulffa. Potem na pełnym gazie rzucił się w zakręt za innymi.

Ale już go dostrzegli i prysnęli na boki lub w górę. Nie mógł zaatakować wszystkich naraz: było ich dziesięciu czy dwunastu... Natomiast sam z kolei stał się celem ataków kilku z nich, podczas gdy reszta hulała nad lotniskiem; Na ziemi byli już ranni i zabici. Dwa samoloty zapasowe, które na wszelki wypadek stały przygotowane do lotu, płonęły w chmurach czarnego dymu zapalone pociskami Niemców. Mechanicy pod gradem kul biegli ku stanowiskom karabinów maszynowych.

Dwa z nich już pluły świetlnymi i smugowymi pociskami.

Wtem celna seria z góry skosiła jedną obsługę; Karabin umilkł...

Ale szóstka Wireckiego wzmocniła teraz obronę ziemną. Nowak i Ahrens dopadli najbliższego punktu ogniowego. Radlicz, Kozioł i Dymidecki zastąpili rannych Anglików z załogi obrony przeciwlotniczej.

Mimo to sytuacja nadal była poważna: trzy karabiny maszynowe nie mogły przecież powstrzymać ataków dziesięciu Focke-Wulffów, a Grey sam jeden w powietrzu prędzej czy później musiał ulec w lak nierównej walce, choćby z braku benzyny i amunicji. Nad dywizjonem zawisła groźba zupełnej zagłady...

Wówczas spod chmurnego nieba nadeszła nieoczekiwana odsiecz. Nad uwijającym się rojem napastników ukazały się dwa radzieckie Jaki i niczym dwa jastrzębie spadły z góry na Niemców pewnych już zupełnego zwycięstwa.

Celne serie z działek po prostu rozniosły dwie maszyny atakujące Greya od tyłu. On sam, wymknąwszy się spod ostrzału trzeciego przeciwnika, wpakował resztę swej amunicji w bok Focke-Wulffa, który nawinął mu się na celownik, po czym stwierdziwszy, że silnik przerywa wskutek wyczerpania paliwa zaszedł pod wiatr do lądowania.

Nikt mu w tym nie przeszkadzał: Niemcy spostrzegli niebezpieczeństwo i ogarnęła ich

panika, a Jaki pędziły już za nimi, raz po raz smagając ogniem uciekających.

Grey dostrzegł jeszcze, że znów dwa Focke-Wulffy dymią schodząc nad samą ziemię i zobaczył z daleka na horyzoncie rozsypujący się szeroko szyk Mustangów, które odcinały odwrót niedobitkom.

Wtem, gdy wypuszczał podwozie, w słuchawkach zabrzmiał głos, który zdał mu się dziwnie znajomy. Jeden z pilotów radzieckich pytał, co to za dywizjon. Pytał po polsku!

Grey szybko otworzył kran zapasowego zbiornika i dodał gazu, wciągając z powrotem podwozie. Potem przełączył stację na nadawanie i wymienił swój numer.

„Dziękuję za pomoc — powiedział. — Komu ją zawdzięczamy?”

„Tu piloci z polskiego pułku myśliwskiego Warszawa — padła odpowiedź. —Widziałem wasze znaki na skrzydłach. Cieszę się, że przybyliśmy w porę i że pomogliśmy rodakom. Kto u was dowodzi?”.

Grey zawahał się, czy podać swoje nazwisko. „Wylądujcie u nas — powiedział. — Niemców wykończy nasz dywizjon Mustangów”.

„Dobrze — zgodził się tamten. — I tak nie starczyłoby nam benzyny do własnego lotniska. Wracamy z dalekiego rozpoznania. Będziemy u was za chwilę. Wyłączam”. Grey zamknął gaz i powtórnie zaszedł pod wiatr. Gdy podwozie jego maszyny dotknęło ziemi, dwa Jaki i pyrkający na resztkach benzyny samolot Kramera kładły się w zakręt nad lotniskiem.

Dokołował do swego miejsca i zatrzymał silnik. Gałęcki już na niego czekał. Gd strony budynków biegło kilku pilotów i mechaników.

Rozpiął pasy przytrzymujące go w kabinie i zwolnił szelki spadochronu. Dźwignął się z kabiny.

— No, co? — zapytał werkmistrza.

— Piloci wszyscy w porządku — odrzekł prędko Gałęcki. — Mamy dwóch lekko rannych mechaników. Zginęło dwóch Polaków i trzech Anglików z opeel.

— Maszyny?

— Dwie spalone, trzy postrzelane. Grey odetchnął z ulgą.

— Mogło być gorzej — powiedział. — Gdyby nie te dwa zuchy na Jakach leżelibyśmy krzyżem.

— Lądują u nas? — spytał Gałęcki.

— Tak. Kończy się im benzyna.

Jaki szły już do lądowania za samolotem Kramera, który właśnie „prycierał” na środku lotniska. Teraz wszyscy dostrzegli biało-czerwone szachownice na ich kadłubach obok czerwonych gwiazd radzieckich;

„Polacy!” — zawołał ktoś głośno;

— Rany boskie, polskie maszyny! — zdumiał się Gałęcki.

Wzruszenie ścisnęło im gardła. Siali i patrzyli bez słowa. Dopiero gdy Jaki straciły pęd i zwróciły się ku nim, nagle rzucili się hurmem naprzeciw.

Grey biegł wraz z innymi, a serce waliło mu coraz mocniej. Wydawało mu się, że przypomina sobie, do kogo należał ten głos przemawiający tak niespodzianie po polsku w słuchawkach.

To niemożliwe — powtarzał sobie. — To przecież nie niemożliwe.

Ale nie mógł opanować nierozsądnej nadziei, która niosła go jak na skrzydłach wraz z innymi naprzód.

Wtem, gdy już byli w połowie odległości od kołuj ostrożnie maszyn, stanęły wyłączone silniki. Owiewki Jaków jednocześnie zsunęły się w tył. Dwaj piloci wyrosli w kabinach i jednocześnie zerwali z głów hauby wraz z okularami.

Krzyk radości targnął powietrzem: Bielak i Plichta wpadli w otwarte ramiona przyjaciół.

W tej samej chwili ze wszystkich anten sojuszniczych radiostacji wojskowych ruszał w świat rozkaz: „Zaprzestać ognia!”

Dowództwo niemieckie podpisało bezwarunkową kapitulację.

KONIEC

Spis treści

Część pierwsza: SZKOŁA ORLĄT

Część druga: KRZYDŁA NAD ARKTYKIEM

Część trzecia: ESKADRA